

Od autora: niewinna ingerencja w historię

Polska, początek XXII wieku

- Nie, ruszaj pierwszy – doradziłem Bartkowi. Było ciemno. Powoli wspinaliśmy się po schodkach na szczyt zamglonego o tej porze strychu. Raki, niebezpiecznie przypominające gumowe klapki, zsuwały się z oblodzonych szczebli, podżegając ciało do bezwładnego runięcia. Bartek miał rację - trwał sezon lawin. Przeprawa przygotowana przez jego ojca-Szerpę okazała się nadzwyczaj wymagająca.

Trochę panikowałem, bo kroczący przede mną wspinacz co rusz fechtował latarką, nie szczędząc moim oczom zwariowanych, świetlnych razów. W dodatku oblekająca go aura, na którą składały się opary czosnku oraz wyziewy rumianku, zdecydowanie nie ułatwiała zabawy. Bartek prawie zawsze był chory, a co gorsza... zawsze leczony jakąś odmianą pradawnej medycyny. Gdybyśmy jeszcze rozgrywali scenariusz zdobywania wulkanu, to mógłbym zrozumieć nieprzyjemne zapachy, ale w naszej sytuacji, czyli przy minus-trzydziestu stopniach i wszechobecnym śniegu, doszczętnie rujnowało to fabułę.

- Teraz cicho! – śmiał poinstruować mnie ten cuchnący sabotażysta.

Im bliżej upragnionego zwycięstwa, tym głośniejsze chrupały nam pod stopami puch, znaczy te wszystkie poręcze i stopnie, każdy kolejny gorzej dokręcony od poprzedniego. Czy się uda? Jak nie obudzić krwiożerczego Szerpy? Czy...

Mimo szeregu wątpliwości, strych bezpiecznie wchłonął nas obu.

Chwilę oglądaliśmy wymyślony wschód słońca – a trzeba wiedzieć, że dwie latarki potrafią całkiem nieźle taki sprowokować – po czym postanowiliśmy się przebranzowić. Ani ja, ani Bartek nie byliśmy już taternikami. Raz, że straszne to nudziarstwo, a dwa, że jak już się zdobędzie wierzchołek, to nie ma co robić. Zamiast tego... wróciliśmy do klasyki. Piraci!

Światło pochodni, którą skierowałem na oblepiony pajęczynami kufer, rozpałiło we mnie omamy gorączki złota, dryg znany świetnie z morskich opowieści. Nie czekałem. Nie kalkulowałem. Z gracją właściwą wielkokalibrowym armatom rozwalilem kłódkę i...

Przepelniła mnie duma.

Skarb istniał. Odnieśliśmy sukces. Zatopionemu w oceanie rupieci poddaszu wyszarpnęliśmy księgę; Księgę, której tytuł obaj, niczym mistyczną inkantację, zaczęliśmy z godnością recytować.

„Polski słownik przekleństw, Warszawa 2002”.

- Bartek, toż to starsze od nas! – Prawie mnie zemdlilo.

Z pasją oddaliśmy się lekturze. Już po chwili kumpel raczył mnie pierwszą porcją archaizmów.

- Ty... - zaczął ostrożnie. Wiedziałem, że żyłka formująca się na jego czole to zapowiedź czegoś kapital-

nego, obłądnie dobrego. – Ty kutasie! – zawołał wreszcie.

Oniemiałem z wrażenia. Po prostu. Gdy odczytałem ze słownika definicję, zzieleniałem jak pierwszy lepszy brokuł, poczułem się niczym nagi, bezlitośnie obrany kartofel. Nokaut, istny nokaut. Usłyszałem kończący gong, sędzia zaczął mnie liczyć. Dziesięć, dziewięć, osiem...

Drgawki poderwały mięśnie do tańca zazdrości. Powstałem. Czy ja mógłbym się poddać? Ja?

Kartki zaszeleściły. Szturchnąłem Bartka w żebro.

- Co jest? - zapytał zgodnie z planem.

- Nie bądź cipa! – poczęstowałem go prawdziwą bombą, która przy detonacji eksplodowała odłamkami bryzgającej śliny. Ostro! W żadnej mierze nie zamierzałem jednak przeproszać za dodatkowe efekty, czym zresztą Bartek niezbyt się przejął – flegma w zasadzie stanowiła nieodłączną część jego chorobliwego życiorysu.

W najlepsze przerzucaliśmy się amunicją prosto ze słownika, aż niespodziewanie... kurek dozujący euforię został gwałtownie zakręcony.

Stało się najgorsze.

- ...urwo – mój kompan kończył właśnie zręczną sekwencję, kiedy wiedziony instynktem urodzonego pechowca, skierował spojrzenie w stronę schodków. Głowa jego ojca, dla mnie - pana Marka - wystawała na tyle, aby bezbłędnie przejrzeć nasze pozycje. Chybotwała się niczym kulka Newtona, którą w ruch wprawiała niewidzialna siła irytacji.

- W środku nocy, panowie, to się śpi, a nie... - Spojrzenie intruza momentalnie skierowało się na strzeżony przeze mnie słownik. Zmarszczki pana Marka ułożyły się w fale zainteresowania, natychmiast wciągając go w wir akcji. – A cóż to? Można spojrzeć?

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Zwinna, ojcowska ręka już dawno odbiła artefakt.

- Bardzo cenne znalezisko! – stwierdził tata Bartka, mądrała z jakiegoś Uniwersytetu. – A niech to... Środowisko akademickie koniecznie musi to zbadać! Skosztować!

Nabraliśmy nadziei, że cała nocna eskapada zakończy się zaledwie na pouczeniu.

- Nie przejmujcie się – rzucił od niechcienia decydując, wrywając mi latarkę i wertując kolejne stronicę. Zerknął na nas, trochę postraszył kuksańcami i gestem dobrodusznego sędziego odesłał do łóżek.

- Teraz idźcie już spać... - Przesunął palcem wzdłuż kartki. - ... chuj!

Wybuchnęliśmy śmiechem.

W porządku był ten pan Marek.

Polska, sto lat później

Transporter miejski spóźnił się już dobre paręnaście minut, co niezbyt imponowało ludziom koczującym na przystanku. Wyjątkowo źle reagowała dwójka bezwłosych amantów wódki, lżeniem i chamstwem torująca sobie drogę ku sprawiedliwości:

- Jakże to jest, szanowny panie Damianie, że ów kierowca spóźnia się tak wielce? Aż człowiek musi to nazwać, bez półśrodków, absurdem. Absurdem! Groteską nawet, olbrzymią farsą!

- Nie da się powstrzymać słowotoku, kiedy niesłyszana i, co by nie mówić, wątpliwa jest forma dzisiejszej komunikacji. Jednakowoż przypominam, drogi Romanie...

- Ejże! – uciszyła pospólstwo staruszka. – Nie macie wstydu? Profesor Zięba tu stoi, czeka cierpliwie, a wy takie pierdoły pociskacie...

Głowy pochyliły się w stronę profesora. Chyba domagano się rozstrzygnięcia. Wywołany wypiął opancerzony w garnitur tors i pogładził dziko rosnące wąsy.

- Jebane MZK – stwierdził. - Rozpierdoliłbym ich w pizdu!

Staruszka zaczęła bić brawo. Cóż za popis elokwencji! Zaś pan Damian... chciał się zapaść pod ziemię. Rzadko kiedy słyszał przecież równie kwieciste wiązanki.

– Chciałbym operować słowem z taką wprawą, rozważą, kunsztem – westchnął. – Gdybym mógł zawrócić czas, to bym poszedł na studia. Niczym szanowny profesor. Niczym tuzy piątej Rzeczypospolitej! Pochwyciłbym tedy oręż zwany nauką, po czym ruszył pewnie przed siebie, aby gromić społeczną pustkę, ignorancją butę, i...

Zięba machnął na niego ręką. Zaklął szpetnie i odszedł.

Studia nie są wszak dla prostaków.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

henrykinho, dodano 26.11.2013 08:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.